

**Kazanie wygłoszone podczas Pielgrzymki Parafii Św. Rodziny
do Sanktuarium Marki Boskiej Zwycięskiej
6 lutego 2010 r.**

W noc sylwestrową, na przełomie roku 2006 i 2007, trzy lata temu, w szpitalu w Zakopanem umierał na sepsę młody człowiek, 18-letni Mateusz. Energiczny, pełen życia nastolatek znalazł się w szpitalu z powodu płuca. I gdy choroba zdawała się już ustępować, dopadła go sepsa. Z każdą godziną jego stan się pogarszał, lekarze byli bezradni. Na domiar złego w szpitalnych zapasach zabrakło potrzebnego leku.

Ojciec Mateusza, krakowski dziennikarz Wojciech Mróz, wiadomość o tragicznej sytuacji otrzymał w montażowni krakowskiej telewizji - *Tato, Mateusz jest w krytycznym stanie, lekarze mówią, że to sepsa i że nie ma ratunku* - starszy syn, Tymek, wykrzyczał w słuchawkę telefonu.

Zdesperowany ojciec zaczął jeździć po krakowskich szpitalach i błagać o ratunek dla syna. Udało się, zdobył potrzebny lek, ale sytuacja nadal była beznadziejna. Okazało się, że specyfik już po dwóch godzinach stracił swoje lecznicze właściwości. Oznaczało to, że na pokonanie zakopianki miał mniej niż 120 minut. W normalny dzień można tego dokonać, ale w sylwestra, gdy do stolicy Tatr wałęsały tłumy rozbawionych turystów, to zadanie niewykonalne.

W tym czasie zakopiańscy lekarze byli coraz bardziej bezradni. Mateusz tracił przytomność, na ciele miał czerwone plamy. Przystawał reagować na bodźce. Wszystko wskazywało na to, że jeszcze tego samego dnia umrze. *Mateusz trafił do nas w bardzo ciężkim stanie. Natychmiast rozpoczęliśmy pełne leczenie kliniczne. Ale było coraz gorzej* - wspomina Anna Hartman, ordynator - *Organizm nie zareagował nawet na podane białko C, zazwyczaj skuteczne w takich sytuacjach. Wiedzieliśmy, że za chwilę trzeba będzie go przypiąć do respiratora i zapewnić sztuczną wentylację. A u siebie nie mieliśmy takich warunków.*

Lekarze podjęli ostatnią desperacką próbę ratowania chłopca. Zapadła decyzja o przewiezieniu go do krakowskiej kliniki. Transport karetką był niemożliwy, ponieważ Zakopiankę blokowały sznury aut. W grę wchodził jedynie helikopter. Niestety, nie było wolnej maszyny. Mijały cenne minuty. W końcu się udało. Mateusz znalazł się w Krakowie.

Miesiąc wcześniej znany poeta Zbigniew Książek, współpracujący z Piotrem Rubikiem autor oratoriów (Świętokrzyska Golgota, Tu es Petrus, Psalterz wrześniey) jechał samochodem do domu w Krakowie. Wracał z kolejnego koncertu w stolicy. Potwornie zmęczony, ale szczęśliwy. Oratorium Tu es Petrus święciło tryumfy. W głowie dźwięczały mu owacje, publiczność nie dawała im z Rubikiem zejść ze sceny. Po chudych latach nareszcie sukces, na jaki on, tekściarz, czekał całe życie. To nic, że pisał scenariusze dla Márty Mészáros, poezje dla Piwnicy pod Baranami czy szlagiery dla Zauchy i Wodeckiego. Zawsze był w cieniu gwiazd i z pustą kieszenią. A teraz, proszę, miał wszystko, sławę, pieniądze, świetny samochód.

Tuż za Częstochową z zachwytu nad życiem wyrwał go dzwonek telefonu.

- *Szczęść Boże, z tej strony Zbigniew Ptak, jestem przeorem klasztoru paulinów w Leśniowie niedaleko Częstochowy. Mam do pana prośbę - usłyszał w słuchawce.*

- *Kompletnie mnie zamurowało - opowiada Książek. - Od miesięcy nie miałem chwili wytchnienia, a tu jakiś zakonnik chce, bym zboczył z drogi i zajechał do niego na obiad. Wariat. Nie znam gościa, nie będę z nim gadał - pomyślałem. Ale facet, potwornie namolny, nie dawał za wygraną. - Dobrze, przyjadę - machnąłem ręką, wstukując w GPS nazwę Leśniów. - Po trzydziestu minutach znalazłem się w innym świecie. Klasztor wyglądał jak z bajki. Stara lipa przy bramie straciła już liście. Szeleściły pod nogami, zakłócając ciszę tego miejsca. Przy różańcowych kapliczkach modlili się nieliczni o tej porze roku pielgrzymi przybywający po łaski do Matki Boskiej Leśniowskiej, Patronki Rodzin. Miejscowi czerpali wodę z cudownego źródła. Na dziedzińcu stał przeor. Miał na sobie śnieżnobiały habit i niezwykle błysk w oczach. Przywitał się ze mną serdecznie. Pociągnął za dzwonek i weszliśmy za dębową klasztorną furtę - wspomina Książek.*

Zasiedli do obiadu, a przeor od razu przystąpił do rzeczy.

- *Chcę, abyście razem z Piotrem Rubikiem napisali oratorium maryjne dla mojego sanktuarium - powiedział. - Omal nie spadłem z krzesła. Pomyślałem: toż to boży szalenciec. Mnich jakiś dziwny, dobrotliwie się uśmiecha, składa rączki, podnosi wzrok do Pana, ale kompletnie nie kuma, o co chodzi.*

- *Ojczulku kochany. To niemożliwe - tłumaczyłem zawitości show-biznesu. Bo ja zamówień miałem na trzy lata. Komercyjne przedsięwzięcia, milionowe budżety. Tylko wariat by to rzucił.*

- *Przekornie zapytałem, czy ma kilka milionów na sfinansowanie swojego pomysłu.*

- *Nie mam ani złotówki, ale będę się modlił - odparł, jakby to miało wystarczyć do zdobycia pieniędzy.*

- *Zrozumiałem, że mam do czynienia z nawiedzonym człowiekiem. W drodze do domu nie mogłem wyjść z podziwu nad ludzką naiwnością. Kilka dni później wymazałem ten epizod z pamięci.*

Tymczasem w krakowskiej klinice stan chorego na sepse Mateusza pogarszał się już nie z godziny na godzinę, ale z minuty na minutę. Przy jego łóżku czuwał zrozpaczony, kochający ojciec. Wskutek postępującej choroby bezradni lekarze stwierdzili, że pozostała już tylko modlitwa.

W tym samym czasie Zbigniew Książek jechał na imprezę sylwestrową. Myślami był już przy toastach, drinkach i grupie przyjaciół, z którymi miał witać nowy rok. W drodze postanowił jeszcze zadzwonić z życzeniami do Wojtka Mroza, swojego dobrego przyjaciela, zapytać, co słychać, gdzie się bawi.

- *Mój syn umiera - mówił tamten przez łyż. - Helikopter zabrał Mateusza do Krakowa, już go chyba nie zobaczę. Lekarze kazali się już tylko modlić.*

Książek z wrażenia zatrzymał auto.

- *I wtedy przypomniałem sobie tego paulina z Leśniowa. Pomyślałem, że kto jak kto, ale on na pewno potrafi się modlić. Gdzieś muszę mieć jego wizytówkę - myślałem, w pośpiechu przeszukując auto.*

Tymczasem w zaśniewionym Leśniowie zakonnicy szykowali się właśnie do nocnych modlitw dziękczynnych za mijający rok.

- Dochodziła godzina jedenasta, kiedy zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałem głos Książka - przypomina sobie ojciec Ptak. - Byłem zdziwiony, mimo to ucieszyłem się, że będę miał okazję złożyć mu noworoczne życzenia. Ale on nie dzwonił z serdecznościami. Był zdruzgotany. W paru słowach poprosił o modlitwę za Mateusza, syna jego kolegi. Powiedział, że rok temu chłopak stracił matkę, a teraz sam umiera. Natychmiast zaczęłam działać. Zapewniłem, że punktualnie o północy razem z moimi współbraćmi odprawimy mszę przed cudowną figurą Matki Boskiej i we wszystkich naszych modlitwach zakonnych będziemy żarliwie przywoływać tę intencję. Prosiłem, by nie tracił wiary w łaskę Bożą.

Książek odłożył słuchawkę i wysiadł z samochodu. Chwilę postął, a potem sam też zaczął się modlić.

- W prostych żołnierskich słowach zawarłem coś w rodzaju układu z Panem Bogiem: dobra, niech będzie, jeżeli Ty uratujesz to dziecko, to ja napiszę oratorium ku czci Twojej Matki, i to nie za trzy lata, tylko natychmiast. I nie wezmę ani grosza.

Trzy minuty po północy, kiedy w intencji Mateusza paulini zaczęli odprawiać mszę przed cudowną figurą, organizm chłopca zaczął reagować na leki. Z minuty na minutę było coraz lepiej. Medycyna nie zna pojęcia cudu, ale lekarze byli pod wrażeniem tego niespodziewanego odwrotu śmiertelnej choroby.

- Wojtek zadzwonił do mnie z radosną nowiną nad ranem. Z Mateuszem było lepiej, ale za wcześnie, by mówić, że wyzdrowieje. Na wszelki wypadek co kilka godzin dzwoniłem do przeora i upewniałem się, czy bracia trwają w modlitwie. Kiedy Mateuszowi znów się pogorszyło, nie zapomnę, jak przeor spokojnym głosem powiedział: Dobrze, do grupy zakonników modlących się o jego zdrowie dodają trzech głodujących w jego intencji. Daleki jestem od dewocji, ale niekiedy wydawało mi się, że ten niezwykły wiary człowiek dowodzi jakimiś niebieskimi zastępami - opowiada Książek.

- Po trzech tygodniach pobytu w klinice Mateusz całkowicie wyzdrowiał. A ja musiałem dotrzymać słowa danego Panu Bogu i zabrać się do pisania oratorium. I tak zostałem drugim bożym szaleńcem.

W dodatku musiał do swoich planów przekonać innych ludzi.

- Byłem na Zbyszka wściekły - przyznaje Janusz Fryc, współwłaściciel agencji Duo, z którym wcześniej zrobili oratoria składające się na Tryptyk Świętokrzyski. - Płyty sprzedawały się w rekordowych ilościach, zaplanowano trasy koncertowe, a tu Książek chce pracować charytatywnie na chwałę Pana. Próbowałem go wziąć na przetrzymanie. Z natury jest leniwy i myślałem, że po kilku dniach minie mu ten szalony zapał. Ale on był jak w transie. Wiercił mi dziurę w brzuchu, naginał Rubika i w koło mówił o swoim zobowiązaniu za uratowanie Mateusza. W końcu uległem. Do pracy zabrali się wszyscy. Cała ekipa z Tu es Petrus.

Wkrótce jednak produkcja stanęła pod znakiem zapytania.

- Najpierw Janusz Fryc dowiedział się od lekarzy, że ma raka płuc. Kilka tygodni później zerwał z nami Rubik. Zostaliśmy bez kompozytora. Nie chcę tego komentować, ale po ludzku rzecz biorąc, realizacja oratorium dla Leśniowa znów stała się niemożliwa - opowiada Zbigniew Książek, który pojechał do klasztoru powiedzieć o tym przeorowi. Ten jednak, jak zwykle, spokojnie obiecał przemodlić sprawę.

- Łatwo się nie poddamy. Powołałem specjalną grupę pokutną. Poprosiłem, żeby żarliwie modlili się o zdrowie dla producenta oraz o pomyślność przy realizacji całego przedsięwzięcia - usłyszał Książek od Paulina.

- Miałem wrażenie, że ojciec Ptak ponownie na sposób anielski dowodzi całym przedsięwzięciem. Dzwoniliśmy do niego, kiedy nie mogliśmy znaleźć orkiestry, kiedy szukaliśmy dyrygenta i przed każdą chemią Janusza. On przyjmował nasze żale i przekazywał grupie pokutnej, a jej członkowie, można by rzec, popychali sprawę dalej. Prosilili Boga poprzez post, modlitwy i wyrzeczenia o załatwienie takiego czy innego problemu. I to działało - uśmiecha się Książek. - Im większe było tempo prac, tym częściej przeor dostawał prośby o interwencję.

Miejsce Rubika zajął Bartłomiej Gliniak, młody utalentowany kompozytor, który zastąpił między innymi jako twórca muzyki do filmów: „Mój Nikifor” i „Komornik”.

- Miałem obawy, czy udźwignę ten ciężar. Wziąłem więc gotowy tekst od Zbyszka Książka i pojechałem do kościoła dominikanów w Warszawie. Usiadłem w klasztornym ogrodzie i zacząłem powoli czytać zdanie po zdaniu. Nie wiem, ile czasu spędziłem na tej niecodziennej medytacji, ale po wyjściu z ogrodu wiedziałem, że znajdę dość siły, aby napisać muzykę.

Sześć miesięcy później, pod koniec września, publiczność długo biła brawo po światowej prapremierze nowego oratorium.

- W podzięce za cud życia i zachwyty Leśniowem oratorium nazwałem Siedem Pieśni Marii - mówił ze sceny wzruszony Książek. Na widowni obok przeora leśniowskiego klasztoru siedział Janusz Fryc. Kilka dni później dowiedział się, że chemioterapia poskutkowała.

Dwa miesiące później Wojtek Mróz świętował w Zakopanem z synami swoje pięćdziesiąte urodziny. Książek przyjechał na nie jak co roku.

- Po kolacji wziąłem Mateusza na bok i po raz pierwszy opowiedziałem mu o dramatycznej modlitwie w jego intencji i cudzie, którego byliśmy świadkami - opowiada Książek. - Szok odebrał Mateuszowi mowę. Stał chwilę nieruchomo, nie mógł wykrztusić ani słowa, a potem chwycił kurtkę i wybiegł z domu.

- Była pierwsza w nocy. - opowiada Mateusz - Pobiegłem na Krupówki do kościoła św. Rodziny. Ukląkłem przed zamkniętymi drzwiami i zacząłem dziękować Bogu za uratowane życie. Jak mogłem wątpić, myśleć, że Go nie ma - mówi chłopak ze łzami w oczach.

Kilka dni później po raz pierwszy przyjechał do Leśniowa. - Musiałem na własne oczy zobaczyć cudowną figurę Matki Boskiej. Codziennie o niej myślę. Modlitwą chciałem ogarnąć wszystkich, którzy mieli tak dużo wiary, że wyprosili dla mnie ocalenie.

Przepiękna historia. Ale to tylko jeden z wielu cudów dokonanych przez Jezusa na prośbę Jego Matki. Na każdym etapie historii Kościoła chrześcijanie mogli doświadczać orędownictwa i pomocy Tej, którą Jezus z wysokości krzyża nazwał naszą Matką. W czasach dawnych i współczesnych Maryja wypraszała i wyprasza nam opiekę Najwyższego. Jako Matka zna dobrze nasze problemy, wie, w czym jesteśmy dobrzy, wie też, jakie są nasze słabości. I jako Matka czuwa nieustannie nad nami.

Kiedy we wtorek 8 czerwca święty obraz z Jasnej Góry przybędzie do naszej parafii, będziemy mogli spojrzeć w oczy Matce Najświętszej i opowiedzieć Jej o wszystkim. Jak żyjemy, czego nam potrzeba. Może zdrowie szwankuje, może starość coraz bardziej doskwiera? Może potrzebny jest cud znalezienia pracy, by mieć wystarczające środki do godnego życia? Może cud pojednania między skłóconym rodzeństwem? A może cud wzajemnego szacunku i miłości w relacji mąż - żona? Może cud większego zaangażowania męża w spełnianie obowiązków domowych, cud pójścia na spacer z dzieckiem, odrobienia razem lekcji zamiast bezmyślnego gapienia się w telewizor? A może potrzebny jest cud powrotu do domu dzieci, które wyjechały za chlebem; za chlebem, który mierzony w funtach lub euro przesłonił im Boga i rodzinę? Może potrzebny jest cud większej aktywności w Kościele, by nie być tylko biernym uczestnikiem życia parafialnego?

Kilka dni temu obchodziliśmy święto Matki Boskiej Gromnicznej. W tym dniu wpatrujemy się w obraz Matki Bożej, która z gromnicą w ręku odstrasza wilki od zatrwożonych ludzi. Tak właśnie jest w naszej codzienności. Idziemy przez życie w ciemności, za wszystkich stron atakują nas złe moce (Szatan jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć). A Maryja nas prowadzi, wskazuje cel wędrówki, rozświetla drogę, odgania złego ducha.

Dobrze się dzieje, że dziś pielgrzymujemy do sanktuarium Matki Boskiej Zwycięskiej. Na każdym ze swych wizerunków, również w tej świątyni, Maryja trzyma na rękach Jezusa, przytulonego do serca. Dzięki temu jest Zwycięska! Bo każdy człowiek, który Jezusa przytula do swojego serca, jest zwycięzcą.

I na koniec jeszcze jedna myśl Zbigniewa Książka, poety. - *Wciąż się zastanawiam, dlaczego Bóg wybrał do tego właśnie mnie. Owszem, jestem wierzący, ale daleko mi do świętości. W głowie mam dziurę po kastecie, którym poczęstował mnie podczas bójki jakiś oprych. Wiele razy ganiałem mętów zaczepiających mnie na ulicy i zdarzało mi się wstawać rano na potwornym kacu. Ale widać Bóg lubi posługiwać się niedoskonałymi narzędziami. Mój układ z Panem Bogiem był honorowy. Chłopak wyzdrowiał, więc ja musiałem się zabrać do pracy. Napisałem oratorium. I całkiem niespodziewanie zostałem drugim bożym szaleńcem.*

Wy też zostańcie bożymi szaleńcami. Pomyślcie, czego oczekujecie od Boga przez Maryję. I pomyślcie, co możecie Bogu w obecności Jego Matki obiecać. I dotrzymać obietnicy. Amen.

(Wykorzystano artykuł „Układ z Panem Bogiem” zamieszczony w Dzienniku Zachodnim z dnia 21.12.2007 r.)